



GRAHAM
MASTERTON

Wiktoriański
sierociniec skrywa
mroczną tajemnicę...

DRAPIEŻCY

ALBATROS

Tytuł oryginału:
PREY

Copyright © Graham Masterton 1992
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 1993

Redakcja: Ewa Ciszewska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z
o.o.

Ilustracje na okładce: warzinx/Freepik (*dziecko*); tuleedin/Freepik (*ementarz*);
Freepik (*dziecko*); vecstock/Freepik (*drzewa*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

FORTYFOOT HOUSE

Tuż przed świtem obudziło mnie ciche chrobotanie. Leżałem nieruchomo, nasłuchując. Chrobot. A potem znowu chrobot-chrobot-chrobot. I cisza.

Zawieszona w oknie cienkie, malowane w kwiecisty wzór zasłony poruszała słaba, wiejąca od morza bryza. Frędzle abażura kołysały się niczym kończyny jakiegoś dziwnego, zawieszonego u sufitu krocionoga. Wytężyłem słuch, ale przez dłuższy czas słyszałem tylko szum morza, znużonego jak diabli, znużonego jak wszyscy diabli morza, i ciche szep-tanie dębów.

Kolejny chrobot; ale tak stłumiony i szybki, że to mogło być cokolwiek. Wiewiórka na strychu, jaskółka pod okapem.

Przewróciłem się na drugi bok i owinąłem obleczoną w atłasową poszwę kołdrą. Nigdy nie spałem dobrze w cudzych domach. W gruncie rzeczy od czasu, kiedy opuściła mnie Janie, nie spałem dobrze nigdzie. Byłem zmordowany jak pies wczorajszą jazdą z Brighton, podróżą promem z Portsmouth, a później rozpakowywaniem i sprzątaniem, które zajęło mi całe popołudnie.

Danny także budził się w ciągu nocy. Dwukrotnie: za pierwszym razem chciało mu się pić, za drugim czegoś się

przestraszył. Widział ponoć, jak coś przesuwało się przez jego sypialnię, coś zgarbionego i ciemnego, ale okazało się, że był to po prostu jego szlafrok zawieszony na oparciu krzesła.

Opadły mi powieki. Gdybym tylko mógł zasnąć. Naprawdę zasnąć, tak żeby przespać całą noc, dzień i następną noc. Zapadłem w drzemkę i przez dłuższą chwilę śniło mi się, że jestem z powrotem w Brighton i przechadzam się pod szarym niebem jak z fotografii – pomiędzy edwardiańskimi domami szeregowymi z czerwonej cegły, po krzyżujących się pod ostrym kątem podmiejskich uliczkach Preston Park. Śniłem, że ktoś wymyka się po schodkach z mojego położonego w suterynie mieszkania, ktoś wysoki i długonogi, ktoś, kto odwraca w moją stronę spiczastą białą twarz, a potem w pośpiechu ucieka. *Człowiek-Nożyce z długimi czerwonymi nogami* – szepnął mi ktoś do ucha. – *On naprawdę istnieje!*

Próbowałem go gonić, ale w jakiś sposób znalazł się nagle w środku parku, za wysokim ogrodzeniem z kutego żelaza. Jaskrawozielona trawa; pawie zawodzące niczym porzucone dzieci. Mogłem tylko biec równolegle do niego, po drugiej stronie ogrodzenia, w nadziei, że nie zniknie mi z oczu, kiedy w końcu dotrę do bramy.

Serce waliło mi jak młot. Podeszwy butów klapały błazeńsko po asfaltowej ścieżce. Widziałem podskakujące obok mnie nadmuchane twarze, białe, wykrzywione w ludzkim uśmiechu balony. I znowu usłyszałem odgłosy drapania i chrobot, tak jakby tuż za mną biegł, uderzając pazurami o asfalt, jakiś pies. Obróciłem się: obróciłem pod kołdrę i nagle obudziłem się, słysząc wściekle hałaśliwe skrobanie, o wiele głośniejsze od chrobotu ptaka albo wiewiórki.

Ściągnąłem z siebie kołdrę i usiadłem na łóżku. Noc była gorąca; prześcieradło, na którym spałem, wilgotne i

poskręcane. Usłyszałem jeszcze jeden cichy, niepewny chrobot, a potem zapadła cisza.

Wziąłem do ręki leżący na nocnym stoliku zegarek. Nie miał fluoryzujących wskazówek, ale w pokoju było dosyć światła, żebym zobaczył, że jest pięć po piątej. Jezus.

Wstałem z łóżka, podszedłem do okna i odsunąłem zasłony zawieszane na tanich, powleczonych plastikiem drutach.

Niebo było blade jak mleko; za dębami falowało tak samo mlecznobiałe morze. Okno mojej mansardy wychodziło na południe i widziałem przez nie większą część opadającego zwodniczo w dół ogrodu, zaniedbaną pergolę z różami, trawnik z zegarem słonecznym i schody, które prowadziły do stawu rybnego i opadały zygzakiem między drzewami aż do tylnej furtki.

Danny odkrył już, że ledwie kilkadziesiąt metrów dalej, za rzędem przytulnych małych domków z pelargoniami w oknach, zaczyna się morze. Skały, spienione przybrzeżne fale, upstrzone przez muchy sterty brązowych wodorostów i chłodny, wiejący od Francji słony wiatr. Wczoraj wieczorem przespacerowałem się z Dannym na plażę: oglądaliśmy zachód słońca i rozmawialiśmy z miejscowymi rybakami, którzy wyładowywali na brzeg płastugi i halibuty.

Na lewo za ogrodem, po drugiej stronie wąskiego zarośniętego krzakami strumienia ciągnął się pokryty ciemnymi plamami mchu pokruszony kamienny mur. W jego cieniu stało sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt ciasno stłoczonych grobów, prawie stąd niewidocznych – krzyże, iglice i płaczące anioły – a dalej mała gotycka kaplica z pozbawionymi szyb oknami i zwalonym dawno dachem.

Według państwa Tarrantów, kaplica służyła kiedyś mieszkańcom Fortyfoot House i położonej niżej wioski Bonchurch, ale obecnie wieśniacy, jeśli w ogóle odczuwali potrzebę

wzięcia udziału w nabożeństwie, jeździli do Ventnor; a Fortyfoot House stał oczywiście pusty, odkąd Tarrantowie sprzedali swoją firmę wykładzin ceramicznych i dywanowych i przenieśli się na Majorcę.

Cmentarz nie wywarł na mnie jakiegoś szczególnie nieprzyjemnego wrażenia. Jeżeli już, to smutne – z powodu swego zaniedbania. Za kaplicą wznosił się na tle białych cirrusów ciemny zarys olbrzymiego starego cedru, jednego z największych, jakie w życiu widziałem, i było coś w tym drzewie, co sprawiało, że z całego pejzażu emanowała atmosfera zmęczenia i żalu, świadomość tego, że stare czasy nigdy już nie wrócą. Ale chyba również poczucie trwałości.

O tej porze dnia ogród kompletnie pozbawiony był kolorów. Fortyfoot House wyglądał jak swoja własna, zawieszona w holu, czarno-biała fotografia z roku tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego. Przedstawiała ona stojącego w ogrodzie mężczyznę w wysokim cylindrze i czarnym fraku; i nieomal uwierzyłem, że za chwilę pojawi się ponownie, dokładnie taki, jak na zdjęciu: bezbarwny, surowy, z okoloną bokobrodami twarzą; pojawi się, podniesie głowę i spojrzy prosto na mnie.

Doszedłem do wniosku, że mogę sobie zrobić filiżankę kawy. Nie miało sensu dalej próbować zasnąć. Ptaki zaczęły gwizdać i ćwierkać, a niebo rozjaśniało się tak szybko, że widziałem już zwisające smętnie za ogrodem różanym tenisowe siatki, a także pokryte plamami porostów szybki szklarni i zachwaszczone grządki truskawek przy zachodnim skraju posiadłości.

– Mam nadzieję, panie Williams, że sprawi panu przyjemność uporządkowanie tego chaosu – powiedziała pani Tarrant, spoglądając na ogród przez swoje małe ciemne okulary. Choć bez przerwy powtarzała, że będzie „strasznie, ale

to strasznie tęsknić za tym miejscem, wie pan?”, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że nie znosi Fortyfoot House z całego serca.

Otworzyłem delikatnie, żeby nie budzić śpiącego obok Danny’ego, drzwi sypialni i ruszyłem cicho wąskim korytarem. Gdziekolwiek spojrziałem – czekała mnie robota. Bładozieloną tapetę pokrywały wilgotne zacieki, sufit się łuszczył, drewniane parapety przegniły. Kaloryfery przeciekały, a ich zawory inkrustowane były plamami wapna. W całym domu unosiła się woń rozkładu.

Doszedłem do stromych, wąskich schodów. Już miałem zejść na dół, kiedy ponownie usłyszałem ten chrobot – właściwie raczej szybkie kroki niż chrobot. Zawahałem się. Odgłosy dochodziły ze strychu. Nie spod okapu, czego bym się spodziewał, gdyby chodziło o wiercącego się w gnieździe ptaka, ale z samego środka strychu, tak jakby coś przebiegło na ukos po podłodze.

Pomyślałem, że to na pewno wiewiórki. Nie znoszę wiewiórek. Niszczą wszystko, co napotkają, i zjadają swoje potomstwo. Zawładnęły prawdopodobnie całym strychem i zamieniły go w jedno wielkie śmierdzące rojowisko.

Przy podeście schodów znajdowały się małe drzwiczki, oklejone, żeby nie rzucać się w oczy, tą samą co ściany zieloną tapetą. Pani Tarrant poinformowała mnie, że na strych można się dostać tylko przez nie i że dlatego właśnie wynieśli tam tak mało mebli.

Otworzyłem tani, zardzewiały zatrask, uchyliłem drzwi i zajrzałem do środka. Ciemno choć oko wykol, a idący z góry przeciąg zalatywał stęchlizną i zbutwiałym drewnem. Przez chwilę nasłuchiwałem, ale doszedł mnie tylko odgłos uderzanych wiatrem dachówek i ciche ciurkanie z nieszczelnego zaworu cysterny. Żadnego chrobotu.

Wewnątrz, tuż przy framudze, wymacałem stary plastikowy kontakt. Przekręciłem go kilka razy, ale albo skorodował, albo w lampie nie było żarówki, albo wiewiórki poprzegryzały przewody. Mój wzrok spoczął na wiszącym po drugiej stronie schodów dużym lustrze. Przez okienko przy podeście padało już dosyć porannego światła, abym opierając lustro o balustradę, zdołał oświetlić kilka pierwszych prowadzących na strych stopni. Przyszło mi do głowy, że chyba nie od rzeczy będzie wejść na górę i trochę się rozejrzeć. Nabiorę przynajmniej jakiegoś pojęcia, z czym przyjdzie mi się zmierzyć. Nie znosiłem wiewiórek, ale jednak wolałem je od szczurów.

Podwinąłem dywan na podeście, żeby zabezpieczyć drzwi przed zatrzaśnięciem, a potem wspiałem się ostrożnie po trzech pierwszych schodkach. Były wyjątkowo strome i pokryte jedynie surowym brązowym filcem z gatunku, jakiego nie widziałem od dobrych dwudziestu lat. Wciąż owiewał mnie przeciąg, ale z całą pewnością niezbyt świeży. Przypominał czyjś zepsuty oddech: tak jakby to sam strych wydychał z płuc powietrze.

Przystanąłem na chwilę na czwartym schodku, żeby ponownie nadstawić ucha i przyzwyczaić oczy do panującej ciemności. To dziwne, ale między dachówkami nie dostrzegłem żadnych szpar, przez które padłby zabłąkany choćby promień; dach musiał być wyjątkowo solidnie położony. Mizerna smuga odbitego przez lustro światła nie na wiele się przydała, ale zdołałem dostrzec kilka kształtów. Coś, co wyglądało jak fotel. Coś, co wyglądało jak małe przysadziste biurko. A potem w samym kącie, pomiędzy dachem a podłogą strychu, coś, co mogło być stertą starych ubrań, albo jakimś innym, przykrytym prześcieradłem, dziwnie powykęcany meblem.

W powietrzu unosiła się woń zbutwiałego drewna, czułem

ją bardzo wyraźnie. Ale także inny zapach. Niewyraźny słodkawego odór, coś jakby gaz ziemny albo smród rozkładającego się w kominie ptaka – nie potrafiłem określić go dokładnie, ale wiedziałem, że wcale mi się nie podoba. Postanowiłem wrócić tutaj później z latarką i sprawdzić, co to, do diabła, jest.

Właśnie miałem zamiar się wycofać, kiedy chrobotanie rozległo się ponownie. Dochodziło z najodleglejszego kąta, stamtąd gdzie dach opadał dość płasko i panował najgęstszy mrok. Tu na górze dźwięk brzmiał donośniej, jakby wywołany przez coś bardziej masywnego – z całą pewnością nie wydawała go lekka wiewiórka albo trzepoczący skrzydłami ptak. Jeżeli już, to duży kocur, bardzo duży szczur, a nawet pies, chociaż nie potrafiłem sobie wyobrazić, w jaki sposób pies mógł się dostać na strych.

– Psssstt! – syknąłem, żeby go przepłoszyć.

Chrobot nagle umilkł. Ale hałasujące stworzenie zupełnie się nie przestraszyło i nie rzuciło się do ucieczki – nie, raczej zatrzymało się, żeby zobaczyć, co mam zamiar zrobić dalej. Natężyłem słuch i przez chwilę wydawało mi się, że słyszę wysoki chrapliwy oddech; ale może to był tylko szum wiatru.

– Psssstt! – powtórzyłem energicznie.

Nie doczekałem się żadnej odpowiedzi. Nie boję się ciemności i w zasadzie nie boję się zwierząt, nawet szczurów. Mam przyjaciela, który zwalcza gryzonie w Islington, w Londynie. Zabrał mnie kiedyś na wycieczkę kanałami, pokazując pływające wśród ludzkich ekskrementów tłuste szare szczury i nie sądzę, żeby po tym widoku mogło mnie coś łatwo przestraszyć.

– Szkołą nas przez tydzień w Chigwell Reservoir – zwierzył mi się wtedy – żebyśmy nauczyli się od pierwszego spojrzenia rozpoznawać ludzkie gówno.

– Potrzebujecie na to aż tygodniowego szkolenia? – odparłem zdumiony.

Wspiąłem się na ostatni stopień i wpatrując się w mrok, postąpiłem do przodu. Trwało dłuższą chwilę, zanim moje oczy przyzwyczyły się do ciemności. Wydawało mi się, że widzę w kącie jakiś kształt, ale nie miałem pewności. Nie był wielkości człowieka. To nie mógł być człowiek, skoro stał tam, gdzie stał, pod nisko opadającym dachem. Ale również i nie dziecko – zbyt dziwnie powykręcane, zbyt pękate. Z drugiej strony żaden kot nie mógł być tak wysoki.

Nie, to wszystko sobie po prostu uroiłem. Prawdopodobnie na krześle wisiało jakieś stare futro. Strych pogrążony był w takich egipskich ciemnościach, że oczy zaczęły mi płatać figle i dostrzegałem poruszające się kształty i cienie tam, gdzie żadne kształty i cienie nie mogły się poruszać. Widziałem sunące przed gałkami ocznymi małe punkciki – drobiny kurzu, łzy albo rysy.

Zrobiłem jeszcze krok do przodu i zaczepiłem nogą o skraj twardego, prostokątnego przedmiotu – skrzyni albo pudła. Nasłuchiwałem, cicho oddychając, i chociaż nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że coś jest na tym strychu, coś, co mnie obserwuje i czeka, żebym podszedł bliżej, uznałem w końcu, że nie powinienem posuwać się dalej.

Byłem przekonany, że to widzę. Coś intensywnie ciemnego, małego i napiętego – nie poruszającego się, lecz czekającego na mój ruch. Sam wstydziłem się swojej pewności, logika bowiem podpowiadała mi, że w najgorszym wypadku mam do czynienia z dużym szczurem.

Nie boję się szczurów. Albo żeby ująć to precyzyjniej, nie boję się tak bardzo szczurów. Próbowalem przeczytać kiedyś horror o inwazji tych stworzeń, ale zasnąłem słodko podczas lektury. W końcu to tylko zwierzęta: bardziej boją się nas niż

my ich.

– Psssstt – syknąłem o wiele ostrożniej. W tej samej chwili wydało mi się, że słyszę skrobanie o podłogę i jakiś ruch.
– Psssstt!

Wciąż żadnej odpowiedzi. Nawet wiatr jakby wstrzymał oddech; powietrze na strychu zrobiło się nieruchome i duszne. Dałem krok do tyłu, a potem następny, wyciągając za siebie rękę, żeby chwycić się balustrady; wycofując się tak spokojnie, jak mogłem, w stronę bladej smugi odbitego światła.

Złapałem za poręcz. I wtedy usłyszałem, że to coś podnosi się, drapie pazurami o podłogę i zaczyna się poruszać. Nie ucieka jednak przede mną, żeby, tak jak to czynią szczury, wślizgnąć się do jakiejś ciemnej szpary. Nie, zbliża się w moją stronę. Bardzo powoli, wydając trudny do opisania dźwięk, na który składa się chrobotanie pazurów i szelest sierści, ale również coś jeszcze: coś, co przstraszyło mnie po raz pierwszy, odkąd wyszedłem przez właz z kanałów w Islington.

– Psssstt, uciekaj, sio! – krzyknąłem.

Czułem, że robię z siebie pośmiewisko. Przypuśćmy, że w ogóle nic tam nie ma. Sterta starych gratów, spacerujący po dachu gołąb. I w gruncie rzeczy, cóż to mogło być, oprócz ptaka albo jakiegoś małego gryzonia? Nietoperz? Możliwe. Ale nietoperze, jeśli tylko nie są wściekłe, nie stanowią żadnego zagrożenia. A szczury, jeśli nie są wygłodzone albo skrajnie przerażone, o wiele bardziej interesuje własne bezpieczeństwo niż atak na kogoś, kto mógłby w odpowiedzi zetrzeć je na miazgę. Są tchórzliwe.

Dotknąłem plecami poręczy. Ogarnęło mnie nieprzeparowane pragnienie, żeby stąd jak najszybciej uciec. Kiedy jednak postawiłem nogę na najwyższym schodku, dywan, który

przytrzymał drzwi, nagle się odwinął i drzwi cicho się zamknęły. Usłyszałem stuknięcie zatrasku i znalazłem się w kompletnej ciemności.

Opuściłem w dół nogę, próbując wymacać następny stopień. Dziwne, ale chociaż sięgałem bardzo nisko, nie mogłem go wyczuć. Klatka schodowa wydawała się gładka jak szyb windy. Mimo że zaczęła mnie ogarniać panika, nie mogłem przecież zrobić kroku w pustkę.

– Danny! – krzyknąłem. – Danny! To tato! Jestem na strychu!

Nasłuchiwałem. Żadnej odpowiedzi. Danny był tak samo zmęczony jak ja i na ogół nic nie potrafiło go obudzić. Wałące pioruny, głośna muzyka, nawet jego awanturujący się rodzice.

– Danny! Jestem na strychu i zatrzasnęły się za mną drzwi!

Ponownie żadnej odpowiedzi. Obróciłem się bokiem do schodów, nie wypuszczając z ręki poręczy, która stanowiła mój jedyny punkt orientacyjny. Próbowałem otworzyć szerzej oczy i natężyć maksymalnie wzrok, ale na strychu nie wpadała najmniejsza smuga światła. Było ciemniej niż pod grubą warstwą koców.

– Danny! – zawołałem, nie mając wielkiej nadziei, że mnie usłyszy. Dlaczego, do diabła, nie mogłem zlokalizować tych schodów? Widziałem, że są strome, ale przecież nie aż tak... Wysunąłem ponownie w dół stopę, ale wciąż natrafiałem na pustkę.

I wtedy właśnie usłyszałem ponownie ten chrobot. Rozlegał się o wiele bliżej – tak blisko, że nie wypuszczając z ręki poręczy, odsunąłem się instynktownie najdalej, jak mogłem, do tyłu.

– Danny – powtórzyłem cicho. – Danny, to tato.

Chrobot.

Serce biło mi wolno i nierówno. Usta miałem wyschnięte niczym leżąca na brzegu pustej wanny gąbka. Po raz pierwszy w moim dorosłym życiu nie wiedziałem, co robić, i sądzę, że właśnie to poczucie kompletnej bezradności przerażało mnie bardziej niż cokolwiek innego.

Chrobot.

A potem wysoki jazgot: tak jakby ktoś mówił w obcym języku, którego sam dobrze nie rozumiem. Nie sposób było rozróżnić ani jednego słowa. To mógł być człowiek mówiący po birmańsku albo tajsku. Ale równie dobrze mógł to być chichot podnieconego zwierzęcia, zwierzęcia, które poczuło krew.

– Psssstt! – syknąłem w odpowiedzi. Ale jazgot nie umilkł. Stał się nawet szybszy i bardziej wysoki. Ogarnęło mnie przerażające przeczucie, że za chwilę umrę.

DANNY. Czy to ja krzyknąłem? Wypowiedziane tak cicho albo tak głośno, że nie byłem w stanie tego usłyszeć. DANNY, TO TATO.

Coś musnęło mnie w ciemności. Coś szkaradnego, zimnego i kosmatego, wielkości dziesięcioletniego dziecka – ciężkiego, otyłego dziecka. Zadrapało moje ramię pazurami albo szponami. Wrzasnąłem głośno, potknąłem się, puściłem poręcz i upadłem. Uderzając ramieniem o skrzynię, usłyszałem, jak napastnik przemyka kilka centymetrów ode mnie, wydając triumfalny, świszczący chichot.

– Chi, chi, chi, chi, chi!

Przetoczyłem się, kalecząc bok, przez skrzynię i runąłem w dół schodów. W ciemności przypominało to upadek z pięciopiętrowego budynku. Jeszcze przed chwilą nie potrafiłem wymacać stopni, poczułem je za to teraz. W drodze na dół zahaczałem o skraj każdego schodka. Głowa-ramię-łokieć-biodro.

Kiedy walnąłem w końcu kolaniem w drzwi, otwierając je na oścież, czułem się, jakby ktoś złożył mi skórę kijem do krykieta.

Oślepiło mnie światło dnia.

– O Chryste! – jęknąłem.

Na podeście czekał na mnie Danny, ubrany w swoją pasiąstą piżamę od Marksa i Spencera.

– Tato! – oświadczył przejęty. – Spadłeś ze schodów!

Leżałem na plecach na dywanie, z nogami wciąż na stopniach.

– Nic się nie stało – uspokoiłem go, choć tak naprawdę chciałem uspokoić przede wszystkim samego siebie. – Nie było tam światła i potknąłem się.

– Wołałeś mnie – upierał się Danny.

– Tak – odparłem, podnosząc się na nogi. Zamknąłem drzwi na strych i szybko przesunąłem zatrask. Czy to złudzenie, czy znowu usłyszałem ten chrobot, ciche pojedyncze skrobanie?

– Dlaczego wołałeś?

Spojrzałem na niego i wzruszyłem ramionami.

– Zatrzasnęły się drzwi. Nic nie widziałem.

– Ale czegoś się bałeś.

– Kto powiedział, że się bałem? Niczego się nie bałem.

Danny nie spuszczał ze mnie poważnego wzroku.

– Bałeś się.

Gapilem się na drzwi na strych naprawdę dłużej, niż powinienem.

– Nie, nie bałem się – odparłem. – Tam nic nie ma. Było ciemno, to wszystko. Nic nie widziałem.

Rozdział 2

OKNO KAPLICY

Zjedliśmy razem śniadanie w wielkiej staroświeckiej kuchni. Podłoga wyłożona była chłodną czerwoną terakotą, pomalowane na kremowo i zielono szafki mogły uchodzić za szczyt nowoczesności w latach trzydziestych, a płytki biały zlew wyglądał, jakby korzystano z niego przy sekcji zwłok. Przez okno widziałem pokruszoną szczytową ścianę zrujnowanej kaplicy. Danny siedział, kiwając nogami, nad miską płatków Weetabix. Jego oświetlone promieniami słońca włosy przypominały błyszczącą koronę mlecza.

Był taki podobny do swojej matki. Duże piwne oczy, chude ręce i chude nogi. I tak samo jak ona rozumował w sposób prosty i praktyczny. Przypuszczam, że powinienem od początku zdawać sobie sprawę z tego, że nigdy nie uda mi się przez dłuższy okres żyć z prostą i praktyczną kobietą. Zawsze byłem w zbyt dużym stopniu teoretykiem – gotowym opierać się bardziej na inspiracji niż na trzeźwym osądzie.

Janie i ja poznaliśmy się w Brighton Art College; ja studiowałem na ostatnim roku, ona na pierwszym. Bez przerwy chichotała i chowała twarz za kosmykami włosów, ale była tak uderzająco ładna, że zawsze zbaczałem z drogi, żeby z nią porozmawiać. Spotkaliśmy się ponownie pewnego letniego

wieczoru trzy lata później, na przyjęciu w Hastings. Miała wtedy na sobie długą biało-czerwoną suknię z cienkiej indyjskiej bawełny i purpurową szarfę na głowie. Zakochałem się w niej nieodwołalnie i od pierwszego wejrzenia. I kochałem ją nadal, choć z czasem już wyłącznie w bolesny i zrezygnowany sposób. Niezliczone kłótnie i awantury doprowadziły mnie do przekonania, że nigdy już nie wrócimy do siebie.

Któregoś lutowego mokrego ranka weszła w końcu do biura firmy projektowania wnętrz, którą prowadziłem przy North Street w Brighton, i oświadczyła, że ode mnie odchodzi. Miała przynajmniej odwagę powiedzieć mi to w twarz. Chciała wyjechać do Durham z facetem o imieniu Raymond i pracować tam w miejscowej radzie gminnej. Czy mógłbym przez kilka miesięcy zaopiekować się Danny'm? „Życzę wam obojgu cholernie dużo szczęścia, powiedziałem. Mam nadzieję, że razem z Raymondem będziecie tańczyć z radości”.

Zabrzączał dzwonek przy drzwiach i już jej nie było. Na zewnątrz czekał na nią brodaty, opiekuńczy facet w mokrym wełnianym płaszczu koloru wielbłądziej sierści. Cholerny Raymond.

Po tym pożegnaniu zupełnie przestały mnie interesować sprawy firmy. Zabierałem Danny'ego na długie spacery brzegiem morza i nie odbierałem żadnych telefonów. Po trzech miesiącach takiego trybu życia musiałem sprzedać swoje tapety i próbki wykładzin i rozejrzeć się za jakąś stałą posadą, co, jak się okazało, wcale nie było łatwe. Nie chciałem pracować jako pomywacz w knajpie i nie miałem prawa jazdy na ciężarówkę.

Ale na początku lata, idąc Duke Street w King's Head, wpadłem na Chrisa Perta, mojego kumpla od kielicha jeszcze ze studenckich czasów. Odludek i trochę dziwak, miał bladą twarz i tkwił głęboko w filozofii zen i brązowych

sztruksowych spodniach. Zamówiliśmy obaj po kilka kolejek gorzkiego tetley'sa i zwierzyliśmy się sobie wzajemnie ze swoich kłopotów. Chrisowi umarła właśnie matka i nie byłem w stanie nic na to poradzić – mogłem mu co najwyżej powiedzieć, żeby poszedł do Madame Tzigane przy Brighton Pier, położył jej na dłoni srebrną monetę i poprosił, żeby przywołała mamę z zaświatów. Za to Chris okazał się bardzo pomocny. Był przyrodnim siostrzeńcem państwa Tarrantów, milionerów z branży dywanowej i glazurniczej, właścicieli położonego na wyspie Wight Fortyfoot House. Wspomnił, że Tarrantowie noszą się z zamiarem sprzedaży posiadłości i chcą niedrogo odnowić i wyremontować dom oraz wypielić ogród – „zrobić generalne porządki”, tak się wyraził. Praca wydawała się cicha i spokojna – dokładnie taka, jakiej szukałem. Mogłem spędzić całe lato razem z Dannym i przez jakiś czas nie zastanawiać się nad przyszłością.

Poprzedniego dnia po południu przybyliśmy na wyspę Wight promem z Portsmouth i natychmiast ruszyliśmy na południe do Bonchurch, nadmorskiej wioski jakby żywcem wyjętej z brytyjskiego kalendarza dla dzieci, ze schludnymi kamiennymi domkami, ocienionymi alejkami i skąpanymi w bieli gorącymi ogrodami, w których brzęczą trzmielce i różowią się malwy.

Nigdy przedtem nie byłem na wyspie Wight. Jeśli nie chce się zafundować dzieciom tanich wakacji albo nie studiuje historii okresu wiktoriańskiego i nie ma się ochoty na spacer po domu królowej Wiktorii w Osborne – trudno wyobrazić sobie powód, żeby tu przyjeżdżać. Płynący przez osłonięte wody Spithead samochodowy prom dociera tu zaledwie w dwadzieścia minut; przytulona do południowego wybrzeża Anglii, przypominająca diament mała wyspa mierzy z zachodu na wschód niewiele więcej jak trzydzieści kilometrów,

a z północy na południe dwadzieścia – zagubiony fragment Hampshire Downs, któremu Rzymianie nadali nazwę Vectis.

Większość miasteczek i wiosek to typowe pułapki na turystów – z krytymi strzechą domami, muzeami lalek, miniaturowymi parowozami i parkami flamingów. Ale w miarę posuwania się na zachód stopniowo znikają ogrody, cedry i murki – teren wznosi się coraz wyżej i staje bardziej dziki, aż w końcu dociera się do wiszących nad Alum Bay klifów i stromych, podobnych do kościelnych wież iglic Needles.

Tam właśnie, na klifach, z dala od zgiełku, można odczuć, czym naprawdę jest Wight. Malowniczą wyspą, na której ogarnia człowieka dziwne poczucie beczasowości: świadomość, że lądowali tutaj kiedyś Rzymianie; że na zboczach tutejszych wzgórz wypasali swoje owce Anglosasi; że po tutejszych przyszczyżonych ogrodach spacerowali pogrążeni w rozmowie Wiktorja i Albert; i że po tutejszych okolonych żywopłotami uliczkach jeździły w latach dwudziestych autobusy z płaskimi przednimi szybami i balonowymi oponami.

Właśnie dlatego spodobała mi się wyspa Wight i dlatego, że była taka przytulna. Co ważniejsze, spodobała się także i Danny’emu. Być może obydwaj czuliśmy, że chroniąc się na bezkresnej złotej plaży z jej rozgwiazdami, skalistymi bajorkami i babkami z piasku, uciekamy przed prawdziwym światem zbankrutowanych firm i utraconych mam.

Zaraz po przyjeździe zadzwoniłem do Janie do Durham, żeby podać jej nasz numer telefonu i powiedzieć, że Danny czuje się dobrze.

– Mam nadzieję, że nie nastawiasz go przeciwko mnie, Davidzie?

– Dlaczego miałbym to robić? Potrzebuję mamy, jak każdy.

– Ale nie dajesz mu odczuć, że go porzuciłam?

– Na miłość boską, wcale nie muszę mu tego dawać odczuć. On i tak to czuje.

Usłyszałem jej zniecierpliwione sapnięcie.

– Obiecałeś, że nie będziesz go nastawiał przeciwko mnie.

– Czuje się dobrze – zapewniłem ją. Nie chciałem wszczynać kolejnej kłótni, nie przez telefon, nie w tej chwili. – Staram się, jak mogę, żeby wspominać o tobie jak najczęściej.

– To znaczy jak często?

– Janie, proszę cię. Powtarzam ciągle rzeczy w rodzaju: „zastanawiam się, co teraz robi twoja mama?” albo „założę się, że spodobałbyś się mamie w tych spodniach”. Czego chcesz więcej?

Zapadło długie milczenie.

– Tak za nim tęsknię – odezwała się w końcu łamiącym się głosem.

Zrobiłem minę, której oczywiście nie mogła widzieć. Wcale nie złośliwą, ale jedną z tych, jakie przybiera człowiek, który wie, że zrobił, co mógł, lecz to i tak nie wystarczyło; i wie, że przez resztę swojego życia będzie cierpiał bolesne konsekwencje swoich czynów.

– Wiem, że tęsknisz – powiedziałem. – Zrobię jutro na plaży parę zdjęć i ci wyślę.

Odłożyła bez słowa słuchawkę.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w **formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).